WACŁAW BERENT

ONEGDAJ

DRZEWORYTY
STANISŁAWA CHROSTOWSKIEGO

WARSZAWA 1933

WACŁAW BERENT

ONEGDAJ

DRZEWORYTY

STANISŁAWA CHROSTOWSKIEGO

WARSZAWA 1933

MOWA MIANA PRZY OTWARCIU
POLSKIEJ AKADEMJI LITERATURY

Uprasza się o poprawienie następujących błędów drukarskich:

Str. 14, w.	5		— najskrzętniejszego
Str. 19, w.	3	od dołu	— nawiasach
Str. 31, w.	6	„ „	— prekursorska
Str. 40, w.	8	„ „	— szarpi i opatrunków
Str. 49, w.	7		— w (skreślić)
Str. 50, w.	11		— nad i nas
„ „ w.	10	od dołu	— Politechnicznej
Str. 51, w.	8	„ „	— Sanctuarium.



POLSKIEJ AKADEMJI LITERATURY



WPRUSACH Południowych, — jak zwał się po trzecim rozbiorze ostatni łup pruski, — nie masz terroru na ludzi lecz na szkatuły», pisze jeden z członków tajnych wtedy związków w Warszawie do Godebskiego w Legjonach włoskich. Miał on na myśli i Austrję, która swe rządy w nowej Galicji rozpoczęła natychmiast od szubienic. System pruski był łagodniejszy. Unikając wszelkiego gwałtu i znęcania się, przystąpiono metodycznie, powoli, z daleko zakreślonym celem kolonizacji, do wywłaszczenia ziemian z roli, mieszczan z warsztatów pracy.

Wypierana z urzędów, ze szkół, z sądów, ze wszystkich ośrodków życia publicznego, schroniła się mowa polska za ostatni szaniec obrony: za próg życia rodzinnego. Brzmi to budująco w legendzie, w rzeczywistości groziło wtłoczeniem myśli i uczuć ludzkich w ślepy krąg zabiegów codziennych,

w drepczącą po brukach troskę o wyżywienie siebie i rodziny.

«Zaległa okropna pustka wymuszonego milczenia», — zaświadcza ktoś, co wraz z innymi zresztą przewracał się tylko z boku na bok w tym śnie apatji powszechnej.

Lecz oto jedyny wtedy głos człowieka, który w ciągu życia całego chwili spoczynku nigdy nie zaznawał — «Jeśli ja się utrudzać nie będę, — powiadał — któż się dziś utrudzi?»

— «O uszy nasze odbijają się już tych przychodźców chełpliwe gawędy, — wybucha Staszic niepohamowaną pasją — że oni to właśnie wyprowadzają nas z dzikości, z barbarzyństwa, z grubej niewiadomości!... Jedyny już tylko pozostał nam środek, — mówi dalej — wydobycia się z tej straszliwej nocy, która ogarnęła jestestwo nasze. Tym są władze rozumu, nauki narodowe, doskonalenie mowy narodowej, przez które przecież jeszcze się nam jakkolwiek ostać w rzędzie żyjących i przynajmniej ocalić sławę i pamięć narodu od zguby wiecznej».

Ten poryw rozpaczy raczej, niźli otuchy sprawił, iż garstka obrońców niewygubnego ducha polskiego zakłada w roku 1800-ym Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Pod nieustannemi szykanami władz

pruskich, pod marudnem przewodnictwem byłego bibljotekarza króla Stanisława, sędziwca Albertrandiego, grzęzły zamierzenia wielkie... Ten erudyta zachłanny, a «muł pracowitości», jak mówiono o Albertrandim, sprawił, że i Towarzystwo pod jego przewodem wiodło utrudzony w poczciwości żywot mułów bezpłodnych. Pierwsze Roczniki Towarzystwa sprawiają wrażenie przygnębiające. Zamartwiali się tem zdaleka Kołłątaj i Czacki.

Co poczęła rozpacz, nie wiara, nie mogło wydać owoców lepszych.

Odmieniło się to nagle po pogromie Austrji przez Francję pod Hohenlinden. Gdy w zawartym potem pokoju lunewilskim nie wspomniano ani słowem o Polsce, — po tylu ofiarach krwi legjonowej we Włoszech, nad Renem i Dunajem — rozczarowani do głębi oficerowie polscy z Kniaziewiczem, Fiszerem i Godebskim na czele porzucali Legjony i gromadnie wracali do kraju. Władze pruskie w natychmiastowem porozumieniu z Rosją nie utrudniały bynajmniej powrotu tej emigracji, do niedawna orężnej, przewidując chytrze, iż ci najbardziej rozgoryczeni staną się najskuteczniejszymi szerzycielami nastrojów przeciwfrancuskich. — Tymczasem wnieśli oni cichy zapał do życia umysłowego, jaki niegdyś, w czas krótkiego we Włoszech

pokoju, wszczepić w nich zdołał w Rzymie Dąbrowski, a obecnie na użytek kraju kierował Staszic. Towarzystwo odżyło niespodziewanie duchem i pracą. — Powrót tylu osób światłych — powiada Godebski — odmienił nietylko życie umysłowe, lecz i obyczaj Warszawy.

Legjoniści, którzy pozostali we Włoszech, mieli jednak w tych sprawach zastrzeżenia poważne:

— «Ustawy uczone Warszawy dwojakie we mnie wzbudzają uczucia — pisze szef sztabu Legji I-szej, jenerał Kosiński. — Jako człowiek wielbię gorliwość ludzi, którzy pracują nad pomnożeniem światła w narodzie, jako Polak boleję, że te same talenty nie mogły się zgromadzić w czasach, gdy nie dałaby się odczuć podłość niewoli».

Na szczęście owa podłość niewoli trwać miała już niedługo. Najgroźniejsza w Europie potęga pruska zawaliła się w ciągu dnia jednego — w październiku 1806 r. — pod Jeną.

— «Ogromne mocarstwo, które okazało się największym wrogiem narodu waszego, zostało jakby cudem obalone», — powie Napoleon delegacji polskiej, która natychmiast doń pośpieszyła i dopadła go już w Berlinie.

Mało wiedziała o tem wszystkiem zubożała i otępiała ludność Warszawy za tym,

rzecby, murem pruskim, jakim odgrodzono ją od świata, — póki któregoś wieczora późnego pod koniec listopada zdumiony okrzyk: «Francuzi!» nie wstrząsnął tak ulicami, że wyrzucił wręcz na miasto z kryjówek domatorstwa mieszkańców wszystkich wraz z widzami teatru i aktorami w kostjumach. Rozjarzyły się na wiwat wszystkie okna w mieście, rozdzwoniły kościoły.

Niebawem cała niemal Armja Wielka przewaliła przez Warszawę. Już z pod Pułtuska słychać huki armat. Pokonane bowiem w ciągu roku — naprzód oba «orły dwułbiste», jak mawiano wtedy w Warszawie, a teraz oto ten «czarny» zaczaiły się tylko z daleka, by w ciągu lat następnych raz po raz dopadać do wydartego im łupu polskiego. Już oto zawiązała się koalicja prusko-rosyjska. Tymczasem wojna potoczyła się dalej na Północ: pod Iławę, zaczem (z polskiemi już siłami powstańczemi) pod Tczew, Gdańsk i wreszcie pod Friedland. — Wielkie zwycięstwo friedlandzkie Napoleona dało Polakom — w pokoju tylżyckim w czerwcu 1806 r. — zaledwie wykrawek z samego ośrodka b. Rzplitej, nawet bez Krakowa na razie i Lublina: krótkotrwałe, acz po 3 latach powiększone w dwójnasób, Księstwo Warszawskie.

Są to rzeczy niewątpliwie niegdyś znane każdemu, no i przez każdego mniej lub więcej gruntownie... pozapominane. Pamiętamy doskonale wydarzenia wczorajsze życia własnego, żywimy jakże barwny nieraz sentyment dla wspomnień z swych lat dawno ubiegłych, nasze onegdaj natomiast zapada w jakąś lukę pamięci: zaciera się i blednie w niej. Jeśli idzie o historyczną pamięć narodu, zwrócił na to uwagę ze zdumieniem nie kto inny jak Napoleon sam, obarczając odpowiedzialnością za to szkoły. Czy bodaj cząstkę tej winy nie ponoszą wspomniane właściwości samej natury ludzkiej?

Retrospekcje historyczne z przed chwili były niestety nieuniknione: — szło o tło dziejowe spraw, które na tem miejscu omówić mi zlecono. Mam tu przypomnieć polskie onegdaj w dziedzinie, ku której zwraca się dziś uwaga ogółu.

Ogłoszenie Księstwa Warszawskiego zgotowało rozczarowanie tak niedawnej — z przed 11-tu zaledwie lat — stolicy Rzplitej. Nie jesteśmy już Polakami, lecz warszawskiej nacji, — sarkano cierpko. Mowa polska wyjrzała bądź co bądź z rodzinnych nor sobkostwa. Wskrzesło życie publiczne.

Towarzystwo Staszicowe otrzymało taki oto dekret króla saskiego a księcia warszawskiego, Fryderyka Augusta datowany z Drezna dn. 30 kwietnia 1808 r. (podaję w skrócie):

— «...Gdy do Naszej wiadomości doszło, iż Towarzystwo Przyjaciół Nauk, utworzone z szczerej ochoty członków wybranych, połączyło się tym jedynie umysłem, aby szczątki literatury swej narodowej w całości utrzymać, język rodowity od niebezpieczeństwa i zagłady zachować, nauki wszystkie: — wytworne i gruntowniejsze podług potrzeb tego wieku i jego wynalazków przemyślnych wydoskonalić, a przez te nauki same nowe doskonałości językowi polskiemu obmyślić, dla nadania mu poloru wyborniejszego i obfitości zupełniejszej, — postanawiamy tedy:

Towarzystwo rzeczone pod opiekę naszą przyjąć i oną zaręczyć. Pozwalamy mu nadto, aby w pismach swoich, patentach, zaświadczeniach i pieczęciach z tytułu Towarzystwa Królewskiego korzystało, spodziewając się, że onego zaszczytu użyje, jak wyroku tego zacność wymaga». —

Odtąd też pieczętuje się Towarzystwo:

«Societas Regia Literaria Varsaviae instituta.»

Dlaczego «królewskie»? Pominąwszy sam układ polityczny czasów i formę rządu, czuć w tem niewątpliwy wpływ najkrzętniejszego i najbardziej zabiegliwego u władz, a najwrażliwszego na splendory, Niemcewicza. Powrócił on niedawno po długoletnim pobycie w Ameryce, gdzie przesiąkł nawskroś duchem anglosaskim. Już nie «kawaler Europejski», jak go niegdyś nazywano, lecz światowy, zapatrzony był teraz w Lo[illegible]yn i jego wzory królewskie. Marzył mu sie[illegible]ór Royal Society.

Czemu zaś dawniej tytuł: «Przyjaciół Nauk»? Dla końcowo przeciwnych powodów: radykalizmu rewolucyjnego Staszica. Nie lubił on arystokratycznej dlań Akademji paryskiej, zresztą wtedy zamkniętej: wolał jej namiastkę rewolucyjną: Société philomatique.

Pamiętajmy, że założenie Towarzystwa rozważano w Warszawie w latach 1799 i 1800, a więc zaledwie po ustaniu teroru w Paryżu, za Dyrektorjatu, i na progu rządów konsularnych. Owa zaś nazwa pierwotna wedle wzoru rewolucyjnego spoczciwiała niespodzianie siłą werbalnego przekładu na słowo

polskie: «Przyjaciele Nauk». Sarkano na tę nazwę, ale Staszic uparł się, jak we wszystkiem co czynił. Nieco później cudzoziemcy nawet członkowie-korespondenci Towarzystwa, zwracali uwagę kolegom polskim na niestosowność tej nazwy, nazbyt już skromnej. Tak uważał i samorząd polski za Królestwa. Rozporządzeniem Rady Administracyjnej Królestwa Polskiego z dn. 16 sierpnia 1817 r. nazwano plac, przy którym budowano nowy Pałac Staszica, a gdzie stoi dziś posąg Kopernika — placem Akademicznym. Nazwa ta znikła oczywiście po roku 31-ym.

Lecz nie o nazwę przecie idzie. Odbiły się w niej jednak potężne prądy społeczne epoki. Dlatego jedynie należało się tej sprawie omówienie krótkie.

Łaski i dekrety królewskie nie spadają z nieba, czy jak wtedy z Drezna, lecz spływają skutkiem zabiegów. Sam styl tego orędzia wskazuje na pióro polskie, i to nie byle jakie. Nie w tem rzecz kto zabiegał, kto pisał, lecz czyj wdał się tu duch. — W niespełna dwa miesiące po Jenie stanęło w kraju, cudem drugim, 30-totysięczne powstańcze wojsko polskie: siła zbrojna, jak na owe czasy duża; nie większej oczekiwał nawet Napoleon sam. Wskrzesił zaś to wojsko Rzplitej duch Dąbrowskiego Legjonów włoskich.

Jakakolwiek była dola legjonów w dziewięcioletnim ich okresie włoskim, dała ziemia tamta zbrojnym Polakom «ojczyznę tymczasową», (jak głosiła odezwa Republiki Lombardzkiej), zapłodniła ich — po raz to który w dziejach?! — genjuszu swego światłem naukodajnem, pozwoliła przechować u siebie zratowany przez Dąbrowskiego oręż Rzplitej, aż po tę chwilę, gdy na dalekiej północy wskrzesła tego ludu ojczyzna stara.

I przywieźli oto do kraju — tamtego genjusza promień od wieków ożywczy, jak to zresztą w pierwszym liście do oficerów legjonowych nakazywał niegdyś Kościuszko: — «Pomnijcie, że winniście przynieść nie tylko wolność narodowi, lecz i udział światła społeczności».

Jakże to niedawno z pogrozą wręcz rewolucyjną przemawiał Dąbrowski na Kapitolu rzymskim: — «W zdobytą tu wiedzę zasobni, gdy powrócimy do kraju *podamy w ohydę i wytępimy* zniewieściałość, marnotrawstwo i rozpustę, jaką poprzednicy nasi, jaśniepańscy wojażerowie, przywozili do kraju z największem uciemiężeniem ziomków ubogich».

Rozwiały się dawno chmury burzy rewolucyjnej, odmieniły się czasy, dojrzeli i ludzie — tyleż w zawodach ciężkich, co w nieustannej pracy nad sobą. «Instytut» rzymski

Dąbrowskiego, niczem jakiś uniwersytet wieczorowy, wskrzeszony i w legji nadreńskiej Kniaziewicza, o wątpliwych conajmniej rezultatach doraźnych, wycisnął bądź co bądź znamię trwałe na zainteresowaniach, widnokręgu a przedewszystkiem na dążeniach tych «łakomców nauk i kunsztów», jak ich nazywano w szeregach legjonowych.

Po rozczarowaniu gorzkiem pokoju lunewilskiego, gdy jedni wracali do kraju, inni przenosili się na studja do Francji — «Paryż pod względem nauk uważany», — jakże znagła odmiennie dla tych ludzi wojny! zaludniał się wtedy po wszystkich uczelniach, pracowniach, zbiorach i bibljotekach od «zabszytowanych» oficerów polskich. Pracowano przytem w takiej nieraz nędzy, że aż po osłabienie z głodu na ulicach Paryża. Doznał tego najcenniejszy doniedawna artylerzysta, a teraz zapalczywy miłośnik matematyki i astronomji, jenerał Fiszer, — zapomniany patron doli naukowych pracowników polskich.

Ten hart, ta wytrwałość i powaga życia — nowe to były duszy polskiej nabytki w twardej szkole Dąbrowskiego. Nie pogrozą już teraz rewolucyjną, lecz wiedzą swą, światłem i pracą podadzą oni teraz istotnie w ohydę i wytępią Warszawy bytowanie bezmyślne.

Nie sprawił tego bynajmniej sam duch wojacki. Najzdolniejsza podówczas młodzież polska, opuszczając tak świetne wtedy szkoły polskie (z ducha Komisji Oświecenia), trafiała w próżnię życia: w gruzy doszczętnie zawalonego państwa, w zubożenie rodów, nędzę rodzin, zastój pracy wszelkiej i całkowitą niemal bezwartościowość obiegowego pieniądza. Nie znajdywała ona nigdzie oparcia i «potuchy»: celu życia i kęsu chleba. Na ulicach Warszawy obce ręce przechodnia wtykały im potajemnie odezwę jakowąś.

Czytali: — «Wierny Ojczyźnie do ostatniego momentu walczyłem za jej wolność pod nieśmiertelnym Kościuszką»...

To Dąbrowski wzywał pod sztandary swoje. Więc ciągnęli do ziemi włoskiej jak to ptactwo północne pod jesień. Ci pół-uczeni już, lub artyści (a byli i tacy) nie stanowili oczywiście batalјonów szturmowych, jakbyśmy powiedzieli dzisiaj, ani awangardy atakującej. Byli to — zapewnia pamiętnikarz — koledzy «kochani od wszystkich», cóż kiedy — żałuje — małego «serca» do wojny, jak choćby sam autor legjonowego Mazurka «filozof» Wybicki, — nie waleczny wcale, by nie rzec tu więcej. Nie brak było podobnych i w armji francuskiej. Przytrafiało się, że padali tacy w polu, częściej ginęli po lazaretach, — nie każdy miał szczęście Stendhala.

Dąbrowski tak rozumnie przeświadczony o «influence des arts et des lettres sur le bonheur des nations», — jak prawił o nim Wojda, — był najmniej skłonny do zaprzepaszczenia tych ziaren dla Polski cennych w sprawach cudzych i na ziemi obcej.

Powrócili do kraju, mimo wszystko, bardzo nieliczni. A jednak nie masz poprostu takiej dziedziny życia i ducha w Polsce na której to wojsko osobliwe nie pozostawiłoby znamion trwałych, bo od administracji kraju i stolicy, aż po takie nauki jak matematyka, chemja, mineralogja, jak lingwistyka, orientalistyka, ba! gramatyka i ortografja polska — (jenerał Mroziński, całkowicie już nowoczesny filolog, ceniony wśród gramatyków po dziś dzień. Istnieje medal wybity na jego cześć), — jak pierwsze w kraju zbiory, już nie królewskie lub pańskie, lecz publiczne — (przedewszystkiem Dąbrowski, a jeśli o obrazy idzie: jenerał Sierakowski), — jak powstałe w ośrodku najmuzykalniejszej części Rzplitej, w Krzemieńcu, Towarzystwo Muzyczne, — (szef bataljonu Drzewiecki) i t. d. — Nie tu miejsce na szczegóły ani, po nawiadach, na litanję nazwisk przebrzmiałych. Idzie o ducha pokolenia.

Ktoby zaś był ciekaw, jak wyglądało pod

tym względem w właściwej dziedzinie przeznaczenia tych ludzi — w wojennej, temu przypomnimy, że pierwszym komendantem Modlina był czołowy poeta nowego pokolenia, Cyprjan Godebski. A dowództwo naczelne francuskie nie bawiło się napewno w żadne sentymenty w takich sprawach. Godebski był już wtedy bardzo doświadczonym oficerem, a w dociekliwości umysłu swego studjował zapalczywie, od lat, tajniki rzemiosła wojennego. To nie był nasz Petöffi, lecz urodzony żołnierz z talentem poety. A znał się szczególnie na fortyfikacji: nie zmarnował pobytu w Mantui. Więc i tu — plon włoski.

(Niepodobna się powstrzymać i od tej wzmianki ubocznej, że jedno z nieśmiertelnych arcydzieł poezji polskiej «Marja» Malczewskiego zostało wprawdzie nie napisane w tejże twierdzy modlińskiej, lecz bodaj że tam poczęte w zamysłach pierwszych.)

A gdy Legjony przebywały jeszcze na Zachodzie, zdarzyło się że jeden z ich oficerów wyższych, fenomenalnie wszechstronny matematyk, architekt i wynalazca został powołany na rzeczywistego członka Instytutu francuskiego. W tradycji polskiej żyje Sokolnicki swą chwałą orężną. — Inny znów młodziutki, bo 20-letni zaledwie oficer legjonowy pod pieczą Dąbrowskiego, który go zwol-

nił z wszelkich obowiązków służby, pracuje w obserwatorjum Marsylji nad... mechaniką niebieską.

«Życzę sobie — pisał doń Dąbrowski tonem wodza — by równie dzielny republikanin jak filozof zajął się»... Skróćmy: — raczej dyplomatyką w sprawie polskiej. Nalegał na to i Kościuszko, za którego staraniem o fenomenalnych zdolnościach tego młodzieńca polskiego powiadomiono samego Konsula (Bonapartę) «w słowach największy Tobie zaszczyt przynoszących», — pisze Naczelnik do Wrońskiego. Gdy jednak Hoene-Wroński wolał pójść drogą powołania naukowego i podaje się o abszyt, Dąbrowski, zrazu jak Kościuszko mocno urażony, potrafił stłumić w sobie żal i prosi młodzieńca, by nie ustawał w gorliwości, «idąc — jak pisze — w ślady naszego Kopernika». Po latach czterdziestu, gdy Dąbrowski dawno już nie żył, wydał Hoene-Wroński swe fundamentalne dzieło o mechanice niebieskiej. I pisze w wstępie do niego: — «Autor sądzi, że wywiązał się z dawnego zlecenia wodza swego».

Czemu tak niewiele imion i dzieł słynnych pozostawiło po sobie to pokolenie trzebione przecież bez końca przez wojny nieustanne, nikt rozsądny pytać chyba nie będzie. Nietylko na pobojowiskach napoleońskich za-

tracała się pamięć o nich. Nastała w Polsce niebawem inna zwycięska potęga czasów: czego wojny nie wykosiły do rżyska, pogrążył w niepamięć zawistny romantyzm.

W wielkiem święcie, jak to dzisiejsze, najoględniej skrótowe przypomnienia te wydadzą się niejednemu przydługie, — oczekują bowiem festyny. Darują słuchacze! niepodobna było prześlizgnąć się krócej nad tym duchem, który ocknął naród polski z «straszliwej nocy, która ogarnęła jestestwo nasze» — (by powtórzyć tu słowa Staszica).

Między przedrozbiorowym rozkwitem poezji i sztuki na Zamku królewskim i w pałacach magnackich, — między upudrowaną na bagnie rozkładu kulturą Stanisławowską, — a tak wszechstronnem odrodzeniem narodu polskiego za Księstwa i w pierwszych latach Królestwa wykuwało się w legjonach ogniwo łączące. A przyłożył się do tego i młot Rewolucji Wielkiej.

W Towarzystwie zaś Staszicowem łączyło się to ogniwo z dawnością kultury polskiej i otwierało zarazem tego łańcucha pierścień nowy dla łączenia się z przyszłością.

Znamy rapsod końcowy legendy legjonowej z «Pana Tadeusza»: wiwaty i polonez odtańczony w Soplicowie. Poważne mu-

ry na Kanonjach przemawiały słowami Staszica: «Co z nami będzie?! To czem się sami staniemy. Użytkujmy z czasu!». W przeciwieństwie do epickiego w Polsce «kochajmy się!» wzywały hasłem Staszica dla Polaków nowem: — Szanujmy się wzajem! każdą dobrą wiarę i wolę, każdy rzetelny trud człeczy.

Taki był legendy Legjonów akord w stolicy ostatni.

Rok zaledwie upłynął od owego orędzia, utwierdzającego Towarzystwo, gdy wybuchła nowa wojna Napoleońska — z Austrją znowuż. — Nie dość jej było pogromów pod Hohenlinden, zaczem pod Austerlitzem; pchała się teraz w nową klęskę pod Wagram.

Wszyscy wraz z Napoleonem liczyli się z najściem dużych sił austrjackich także i na Saksonję; «orzeł dwułbisty» wolał spaść niespodziewanie znów na swój niedawny łup polski. Wielkie siły nieprzyjaciela stanęły pod samą Warszawą.

Nastaje po Raszynie żałosna konieczność tak zwanego dziś «ewakuowania» stolicy. Rząd polski przenosi się do Torunia. — (Proszę z tego miejsca nie oczekiwać w tej chwili polityki dziejowej lub rapsodu wojennego.)

W tym zamęcie wojennym, a niepewności chwili znajduje rząd czas i myśli na wydanie «Odezwy do narodu» w sprawie... wzniesienia posągu Kopernikowi w Toruniu. I wzywa naród do składek. — Główny zaś sekretarz tego rządu poeta Niemcewicz, utrudzony nad siły w ciągu dnia, znajduje po nocy wenę na napisanie (na jakiś tam wzór angielski): — «Pochwały — któżby odgadł?! — Muzyki». Po szczęśliwym już za miesiąc powrocie rządu do Warszawy odczytuje Niemcewicz «wiersz zdziałany» na pierwszem posiedzeniu Towarzystwa. Uczynił to nie dla popisu czczego: szło mu o poparcie inicjatywy w sprawie Wydziału Muzyki w Towarzystwie. Przyłoży się ów Wydział niebawem do powstania Konserwatorjum muzycznego (którego rychłym uczniem — dodajmy — będzie Chopin).

Ci ludzie tworzyli doprawdy kulturę swego czasu niczem arabowie — z konia.

Każdy tu słuchacz, już nie o zmyśle wojskowym nawet, lecz rzeczywistości surowej, pomyśli niewątpliwie: mogli ci panowie tem się zatrudniać, czy zabawiać, była bowiem wtedy na szczęście cała plejada najdzielniejszych jenerałów — z Dąbrowskim przedewszystkiem, — na której barkach spoczął istotny los narodu.

Lecz ludzie wojskowi owych czasów spo-

glądali na te sprawy nieco inaczej. Wszakże to w dwa tygodnie po złowieszczej klęsce floty francuskiej u brzegów Egiptu otwierał Napoleon dla swoich uczonych Instytut Egipski. A podczas pożaru Moskwy zatwierdzał ustawę Komedji francuskiej.

I polski Instytut w Warszawie pracował w huku armat a szczęku oręża. Nie ustawały one przecie wtedy na ziemiach naszych w ciągu lat 6-ciu conajmniej.

Stąpamy codzień żywą stopą po tem podłożu i naszych dziś czasów. Ocieramy się codziennie o gmachy publiczne (dziś nawet «reprezentacyjne»), które jeśli nie zbudowało od fundamentów, to unowocześniło w budowie tamto pokolenie, — jak ten choćby, w którym zgromadzeni jesteśmy dzisiaj. Wszystkie po dziś dzień zakłady uniwersyteckie, wraz z Obserwatorjum, pochodzą z onych czasów. A wszelkie te przedsięwzięcia: oświatowe, skarbowe, gospodarcze i t. p. bądź pochodziły zawsze z inicjatywy Towarzystwa, bądź też były w niem omawiane krytycznie. Sprawiali to tacy jego członkowie, jak Staszic, Potocki St., Skarbek, wreszcie tacy rozbudowcy Warszawy, jak inżynier i ogrodnik Szuch, jak architekci Aigner, Corazzi i inni. Wszyscy oni byli nader czynnymi członkami Towarzystwa. Dalszych ciągów protokułów Towarzystwa — powiada

jeden z ostatnich badaczów tej epoki — należy szukać w aktach Ministerstw (później Komisji Rządzących): Oświaty, Skarbu, Spraw wewnętrznych.

Dziedzina życia literackiego, — bo docieramy wreszcie do niej, — podlegała najbezpośredniej wpływom Towarzystwa, była celem najłatwiejszych i najcięższych niekiedy napaści. Znamy je dobrze. Obawiać się należy, że stokroć lepiej, niźli cały ogrom zdziałań Staszica i Towarzystwa Królewskiego. Zastygająca dziś dopiero wulkaniczna lawa romantyzmu, no i popioły jego, okryły i przysypały nasze onegdaj.

Lecz oto co mówi o tej działalności w dziedzinie literatury najcenniejszy już po latach niewielu powieściopisarz, a jeden z najznakomitszych po dziś — Rzewuski:

— «Nie można zaprzeczyć, że Tow. Przyj. Nauk uszlachetniło zawód autorski, który przed jego pojawieniem był uważany za dworszczyznę, albo za zabicie czasu, oderwanego od usług publicznych, — że dopiero członkowie jego wniecili potrzebę jakiegoś pokarmu umysłowego w duszach odrętwiałych życiem domatorskiem, — że wreszcie ich utwory naśladownicze pobudziły ten ruch umysłowy, który później siebie wyraził utworami genjalnemi».

Gdyby każda Akademja w Europie w dru-

giem, lub choćby w trzeciem dopiero pokoleniu, zbierała na zewnątrz plon utworów genjalnych, błogosławione byłyby one wszystkie.

Nic tak nie oświetla zrzeszeń jakichkolwiek lub instytucyj, jak najpłomienniejsza w nich dusza. Nie mam tu na myśli twórcy, i ducha Towarzystwa Królewskiego — Staszica, ani Dąbrowskiego, który całe archiwum Legjonów, a więc treść całą swej niezłomności lat tylu, aż po najintymniejsze listy i pamiątki zapisał Towarzystwu. Chcę mówić o kimś o wiele skromniejszym: o byłym redaktorze Dekady legjonowej w Mantui, a późniejszym członku tegoż Towarzystwa, o Godebskim.

Nie był to poeta dużej miary, podobnie jak jego bezpośredni poprzednik Karpiński. Obaj jednak, najbardziej niegdyś popularni, skupiają na swej doli najwięcej znamion i cech czasów swoich, — o nie zaś idzie tu przedewszystkiem.

Rozczarowany wraz z tyloma innymi, porzucił Godebski Legjony, przywożąc do kraju bezmiar goryczy i rozżalenia — nawet

do Dąbrowskiego. Takiem rozgoryczeniem wypowiada się nieraz entuzjazm natur najwrażliwszych. Przybyły i zawody inne. Za powrotem wpada mu dość niespodziewanie w ręce jakowyś «fundusz», prawdopodobnie żałosna resztka schedy. Więc wznawia czemprędzej swój przedrozbiorowy miesięcznik «Zabawy przyjemne i pożyteczne» — celem ożywienia ruchu umysłowego w stolicy. — Wyszło tych Zabaw zaledwie 5 zeszytów; ruch umysłowy w stolicy jakoś ożywić się nie chciał, a poeta wraz z żoną i trojgiem dzieci znalazł się na bruku. Odtąd pocznie przejadać najdosłowniej swój talent na opasowej belferce w jakiemś tam Soplicowie koronnem, gdzie go kochano bardzo, karmiono obficie, lecz zasług nie wypłacano wcale.

Będzie miał niebawem w dorobku swym słynny wnet i tak bardzo poczytny przez lat kilkadziesiąt Wiersz do Legjów Polskich, świetną po dziś powieść o granadjerze-filozofie i «poczet» (jak się mówiło wtedy) pism pomniejszych. Więc by się wydostać z wsiowego karmnika, zgłasza przy pierwszym wakansie swą kandydaturę na członka Towarzystwa. Przy wyborach przepada.

Ludzie są ludźmi, wybory są wyborami, a ocena poezji i ducha przez... głosowanie

bywać musi i chybną. Nie dziw, że rozżalony żołnierz-poeta po tak entuzjastycznych niedawno listach o Towarzystwie, pisanych do pozostałych we Włoszech towarzyszy broni, ostygł mocno w swym zapale. Poczyna spoglądać z ukosa na to «grono 60-ciu», — jak ich nazywa. I pisze w liście do przyjaciela:

Żaden być związek nie może bez braku.
Gdy kilku z tego wyłączysz orszaku,
Reszta tych mędrców tak dotąd ostrożna,
Że ni źle, ni dobrze rzec o nich nie można.

I jak zwykle w takich razach powiada sobie: — «Bardziej niż sławnym, chcę być użytecznym». — A choć sam przepadł, «Cyprjan kochany» — (inaczej nie nazywano go w Legjonach) — radzi przyjacielowi, by postawił swą kandydaturę. Choć ostrzega:

Gdzie rozum tylko idzie na kryski,
Tam wybór śliski.

W końcu buntuje się w nim poeta.

«Lecz rzućmy porę i dwór Parnasu:
Serce nie zwykło radzić się czasu.
Nie dba o wdzięki i świetność myśli,
Gdy czucia kryśli.

Podkreślmy: rozum tylko, czucia, serce, co nie dba o wyszukane myśli: — wcze-

snego to ptaka pierwsze nutki romantyczne. A wraz nieufne wdziękom i przekwintom muzy pseudoklasycznej.

Tworzy wciąż, tylko że zdala od zachęt umysłowych stolicy, w serdecznie tępem otoczeniu wsiowem, potrzebuje poeta podniety, ekscytacji. Zna środek taki, ale gdzie o nim na wsi marzyć! Więc pisze do przyjaciela w Warszawie, by mu przysłać czemprędzej «dwa łuty tej rośliny». Roślina ta zwie się: — herbata. Strasznie upodobał sobie pijanie «tego ziela gotowanego z wodą».

(Dla Chopina podobną podnietą, nieledwie że aphrodisiacum, stanie się... kakao, «nowy świetny, ale strasznie excytujący napój». — Ci poeci i muzycy tamtego pokolenia mieli nerwy naiwne, westchnąć tu gotów z grymasem narkoman dzisiejszy).

Ale biada niewolnikom podniet wymyślnych! — «Często podlegam marzeniom, a nieraz ockniony zazdroszczę sobie sennemu»... Chcecie może poznać choć jeden z tych «snopłodów» jego?

Było to jeszcze nad Renem, gdy ledwie zrzucił mundur legjonowy i rozpoczął pisać gorączkowo. Jakaż to zjawa nawiedzić mogła wtedy właśnie żołnierza-poetę, jeśli nie Minerwa sama? — «Chód jej podobny do kroku, jaki przybierają Xiążęta ludu, gdy przed nim udawać chcą Bogów». — Określ-

nik Norwidowej niemal niezwykłości. Poeta wita ją rozmodleniem długiem. I wybucha na końcu błaganiem o dwie łaski: o swój powrót do kraju i o najuboższy bodaj zagon własny w ojczyźnie. To mu wyjrzało z dna serca. O własnej roli kawałek modlił się Polak ...do Ateny:

«Jeżeli do mojej powrócę Ojczyzny,
Jeśli mieć będę kiedy swoją grzędę,
Ja ci pierwiastek malutkiej właścizny,
Bukiet wdzięczności ofiarować będę.

Tymczasem po powrocie do kraju poczuł się jeszcze bardziej jakby z korzeniami wyrwany z ziemi rodzimej. Tłumnie bowiem wysadzano wtedy szlachtę polską z siodeł. Pytajcie pradziadów waszych, czy nie najmilszą dla nich piosnką była oklepana aż wtedy nutka Godebskiego: — «O luba wiosko, pobycie drogi, — miałem cię własną, dziś cudze progi — każe wycierać potrzeba smutna». — Stopięćdziesiąt lat uczyć się musieli Polacy życia poza grzędą własną, — na brukach miast. Taka była prokursorska dola Godebskiego: już nie dworaka na zamku lub u magnatów, a jeszcze nie wrosłego w społeczność wiejską, jak np. Niemcewicz, — dola bez korzeni w ojczyźnie.

Tylko że świat nie kończył się dlań na doli własnej.

Żył w twórczości gorączkowej, podniecaniu się nieustannem do marzeń, do «snopłodów». A gdy odlatywał z nad jego głowy «skrzydlaty snobóg, nietoperz», budził się ku rzeczywistości tylko, ku zazdroszczeniu «sobie sennemu» i ku ostatecznej już bezradności życiowej.

I wtedy wybucha zeń pesymizm bez granic:

— «Kiedy sobie wystawiam dzieje żywota mego — pisze do przyjaciela (rękopis z dn. 24 sierpnia 1805) — przekonywam się, że jest pewna liczba śmiertelnych nad któremi nieszczęście, począwszy od człeka aż do bydlęcia systematycznie wywiera swą władzę... Zdaje się, że przyrodzenie położyło na czole każdego cechę przeznaczeń, ażeby los, o którym powiadają że jest ślepy, łatwiej swą namacał ofiarę»...

Toż to jest le mal romantique w pełnem już rozwoju: żałosny skutek życia wyłącznie marzycielskiego. Wczesny ptak romantyzmu zapadł dziwnie wcześnie na późniejsze zaniemożenie nagminne — «smutku, tęsknicy», mówiło się poczciwie po naszemu; gdzieindziej zwać to będą aż bólem istnienia, Weltschmerzem. W Niemczech nietylko Kleist targnął się na życie swoje. Na polskie Dziady zaduszne możnaby wywołać niejedną marę samobójców takich, a na ich

czele tragicznego Malczewskiego i boleściwego Tymona Zaborowskiego.

Kto wie, jakby się skończyło z Godebskim, gdyby nie jego dawna służba wojskowa. Nie iżby krzepiła wspomnieniem, lecz że miał w sobie istotną wenę i pasję dociekliwą studjowania wciąż rzemiosła wojennego. Gdy mierzło mu «rymowanie dla bobkowych liści», zatapiał się w mapy i księgi wojskowe: biło z nich tchnienie surowe i straszliwie trzeźwe. Przyszły komendant Modlina nie dawał się, mimo wszystko, gusłom rojeń.

Najniespodziewaniej tymczasem stawiają w Warszawie raz jeszcze kandydaturę jego do Towarzystwa. Przechodzi jednogłośnie. Tak kapryśne bywają oceny poezji w głosowaniach.

Lecz tym razem skaprysił wybraniec:

— «Kto nie ma kawałka chleba — pisze do — Warszawy — trudno mu się zaprzęgać w obowiązki takie. Ale zawsze mówiłem, że chętnie przyjmę stopień członka przybranego».

Mądra ustawa Towarzystwa Królewkiego przewidywała takich członków przybranych, nie obciążonych żadnemi obowiązkami, a zapraszanych na pewne posiedzenia Wydziałów. Wyborem takim zaznaczano: —

Owszem, cenimy bardzo, ale mamy tymczasem pewne zastrzeżenia. Dotyczyły one niekiedy, nie wiedzy lub talentu, lecz zrównoważenia człeka, — jak po latach Lelewela, pełnego jeszcze wtedy niestatku: w dziwacznym zawsze stroju, z nieodłączną kupą książek pod pachą szastającego się wciąż z plotkami po Honoratce. Wybrany definitywnie, stał się Lelewel najgorliwszym i najpracowitszym członkiem Towarzystwa.

Godebski dał się w końcu namówić do przyjęcia wyboru. Towarzystwo znalazło dlań zajęcie zarobkowe: zlecono mu napisanie Historji literatury polskiej, (prawdopodobnie w zakresie szkolnym). Niby ulżyło doli, niby raźniej i w głowie, cóż kiedy dzieci zaczynają znów chorować. Zmarła mu córka. Od zabrudzonej ranki już kość próchniejąca wyłazi z nóżki Xawerkowi. Na wsi wszystko na tych dzieciaczyskach goiło się i przysychało jak na szczeniętach młodych... A zdawało się, że «los ślepy» uśmiechnął się doń wreszcie. Nie miał szczęścia.

Pisze wciąż, bo życie stołeczne rozpraszać umie i zgryzoty familijne, dostarczając podniet na każdym kroku. Od kobiet pięknych, naprzykład, roi się Warszawa. — Żona jego, francuzka, nie była ponętna. «Sentyment jaki mam dla niej najmocniejszy, jest moja uczciwość». Setki jego kolegów w Legjonach

gwizdało na takie zobowiązania zagraniczne. Kapitan Godebski «syty nakoniec laurów Marsa» uszczknął «Myrthu gałązkę» z całą melancholją. Cóż dziwnego, że chciałby choć raz w życiu «smakować szczęście z ustek całowanych». Dość późno wzdychał za tem — akademik.

Obcowanie z akademickiem «gronem 6굿ciu» niedobrze wpłynęło na jego talent. Prawdziwie niewiadomo, czy kojarzyć tych literatów, czy raczej murem ich od siebie odgraniczać?

Ku satyrom podmawia go filozof i krytyk Szaniawski (przyszły cenzor rosyjski i «kat myśli polskiej»). Najdroższy mój Kalasanty, — pisywał doń Godebski z najszczerszemi zawsze wynurzeniami. Drugim jego przyjacielem od serca był towarzysz broni z Legjonów, i poeta również, Kossecki, — po roku 30-tym jenerał rosyjski, o którym powie Mikołaj: preżde krał, a nażywszyś perestał.

Z taką znajomością natury ludzkiej Satyry tego gołębia bez woreczka żółciowego, «kochanego Cyprjana» były raczej — zdziwieniami jego głębokiej ufności do ludzi. Czemuż to najbardziej dziwić się musiał w Stolicy? Od czasów Naruszewicza «Chudy literat» i łaska czyjaś były to wciąż jeszcze pojęcia nierozłączne. Więc w bajce

o dwu dworakach pyta wiekowego kolegi, jak się mógł powtarzać na dworze?...

Gdzie często kolej gniewu lub łaski
Nowe na scenę wywodzi maski,
I prawie jakby w zajezdnym domu
Stałej gospody nie masz nikomu.

Wydziedziczony z ojcowizny syn Polesia, tęskniący wciąż daremnie do własnego kawałka roli, pisząc teraz dwukrotnie o Wsi polskiej, tworzy poemy «prawidłowe», pełne mitologicznych floresów Delille'a i cytat z mędrców greckich, (w ich ówczesnem przyswojeniu francuskiem: rzekłbyś w perukach i pantofelkach paryskich). — Kochany Cyprjan stał się akademiczny.

Owiało go zapóźnione tchnienie Francji: pseudoklasycyzm warszawski. Jakże to inaczej było przed laty u samego źródła klasycznego ducha:

Gdzie... na Trajanów i Tytusów tronie
Siadłszy, święty rybołów w troistej koronie
Ze schodów marmurowych, nakształt majestatu,
Dwa palce, zamiast berła, pokazywał światu,
...Tam, okryty laurami na werońskiem polu,
Dzienne rozkazy Polak dawał z Kapitolu.

Trudno o surowszą plastykę słynnego z średniowiecza posągu Św. Piotra, a nadewszystko o dosadniejszy dla wyobraźni skrót Rzymu Legjonów.

Wtedy był poetą.

Stać się miał nim i teraz, acz poetą wojny tylko: najczujniejszym w Warszawie żórawiem. Nadsłuchuje:

> Już hufce zbrojne ciągną od Wołgi:
> Zlewki Połowców i Hipomołgi...

Mocniejszy to bodaj określnik od tak głębokiej potem indygnacji w słowach Norwida na tychże najeźdźców.

Tymczasem w kilka tygodni po Jenie staje przed nim, jak z pod ziemi w Warszawie pruskiej zjawiony, tajny wysłannik Dąbrowskiego z wezwaniem do natychmiastowego stawienia się. Bez namysłu pozostawia żonę i dzieci na opiece przyjaciół («nigdy kobieta nie była mi przeszkodą w czemkolwiek») i przemyca się z Warszawy «azardownie», po raz drugi w życiu, do Dąbrowskiego, — tym razem nie przez Alpy dalekie, lecz do Poznania.

Po ukończeniu tej pierwszej po rozbiorach wojny wyzwoleńczej na ziemiach polskich zostaje Godebski pułkownikiem i, jak się rzekło, komendantem Modlina: tak rychło ocenił go, za Dąbrowskim, nietylko Napoleon, lecz i ludzie swoi. Gdy któryś z ofiarnych obywateli wystawił własnym sumptem pułk cały, nalegał aby ów oddział

nosił tenże numer, co pułk Godebskiego: 8bis (ósmy powtórny), tak bardzo bowiem wsławił on się w bojach wraz z swym dowódcą.

Poza załogą Modlina nikt go wtedy nie widywał. Przy nieustannych utrudzeniach wojskowych powracał nocami do literatury, przeświadczony, że «z imion wojną wsławionych te tylko unoszą się nad otchłanią czasów, które od odwagi łączyły rozleglejszą umysłu oświatę».

W tym nierozerwalnym splocie obu powołań staje się dlań wojna jakowąś poezją czynną: jedynym jego «snopłodem», który iścił się w rzeczywistości.

Nastał rok 1809; wojna austrjacka wszczęta; nieprzyjaciel stoi pod Warszawą. — W przedwiosenną szarugę, przez błocka chlupiące pod nogami żołnierzy w marszu, przez mgłę gęstą, pod deszcz siepiący w oczy przyprowadza pułk swój do Warszawy w drodze pod Raszyn. W pochodzie melduje się w sztabie głównym. Fiszer jest zły: kto jak kto, ale szef sztabu wie najlepiej co sobie wróżyć z tej bitwy, która za kilka godzin ma się rozegrać, podpisuje srogo papiery, a zezem lustruje «kochanego Cyprjana». Nagle wali pięścią w stół i zrywa się: chce go wstrzymać w marszu. Godebski upiera się przy

rozkazach otrzymanych. Rozdał powiada, nawet wino ludziom swoim; otucha u żołnierza dobra, ochota jest, choć przemokli do nitki... Czem dla żołnierza deszcz? Nie panienki przecie. I nie rekruty. Ludzie swoi, z Legji włoskiej!..

Wyruszał tak w bój o Warszawę poeta, który pisał niedawno (znów w liście do Szaniawskiego):

— «Przyjdą kiedyś czasy, gdy te słowa: cudzoziemiec, różnowierca wyrzucone będo ze słownika ludów, — gdy zamiast wyssania z mlekiem matki miłości ojczyzny — zamkniętej częstokroć w obrębie stu mil kwadratowych — szczęśliwe dziecko ssać będzie miłość rodzaju ludzkiego, — gdy... Ale nie chcę wpadać w sen...»

Jednych w tej wierze współwyznawców mieć nie chciał, — którym...

> Patrz jak słowo Ojczyzna na szyderskiej twarzy
> Wzbudza uśmiech złośliwy i hasło potwarzy.

Bóg raczy wiedzieć, gdzie mógł on — wtedy już! — spotykać podobne twarze? Mniejsza z tem.

Przypadkiem był tu w sztabie przytomny «rezydent» francuski, uczony Serra, a Polaków największy przyjaciel, na tyle język ich znający, że nietylko wiedział, kto zacz jest Godebski, ale czytał, owszem, gustował...

A gdy teraz oto spojrzał na ten jego nosek kościuszkowski, w hardość tych oczu szaroniebieskich, a przeraźliwie smutnych, — coś go tknęło. I nagle ująwszy oburącz głowę jego głaszcze ją; a łzy mu kapią. Był uczony Serra także i rymotwórcą, — poeci zaś miewają między sobą czucia takie.

(Za lat 15 przeczucia staną się modne: wszystkie damy warszawskie miewać będą sekretne pressentiments. Tamte czucia obu poetów były bardzo przedromantyczne).

Późną nocą dowieziono Godebskiego bryczką z traktu krakowskiego, a w takiem skrwawieniu, że zbluzgał obu żołnierzy, co go zratowali z pobojowiska. Otrzymał aż dwa postrzały ostre, oba w tętnice, — bo nie miał szczęścia. Błaga o ratunek pośpieszny; nie opuszcza go, widać jeszcze «nadzieja, siostra żądzy», jak mawiał niedawno sam. W przeludnionym dziesięciokrotnie lazarecie, wyczerpał się nagle wszystek zapas szarp i opatrunków, — bo nie miał szczęścia. — Od takich odwraca się i Mars sam: Napoleon nie cierpiał ludzi nie mających szczęścia. — Złożony między dogorywających i w rodzimym nieładzie a zamęcie jakoś zapomniany — spłynął krwią do ostatka. Śmierć jego wstrząsnęła Warszawą.

Zaroiło się jak ulu w gronie 60-ciu. Zwołano natychmiast «Posiedzenie Nadzwyczajne» z takim, należy mniemać, porządkiem dziennym:

1) Zagajenie prezesa.

2) Sprawa pogrzebu — na koszt rządu oczywiście. «Rząd dać musi» wywodził energicznie członek trzymający pióro.

3) Sprawa pomnika, — przedmiot debatów dłuższy... «On nie potrzebuje pomnika, lecz wiek nasz potrzebuje chwały» — wywodził filozof Szaniawski.

Zaczem wedle porządku dziennego omówić należało, kto wygłosi Pochwałę poety: — kogo ubrać w wystąpienie publiczne. Aż tu fuknie na nich złośnik Staszic, kując się przed nimi palcami w czoło: — Do głowy wam nawet nie przychodzi, czy przedewszystkiem wdowa i dzieci mają aby kęs chleba na dziś? I czy będą go miały kiedykolwiek! — Stropił się mocno wiceprezes, a raczej prezes Wydziału, Niemcewicz. — Środków Towarzystwo nie miało żadnych! Więc za podszeptem członka trzymającego pióro postawił wniosek wydania Odezwy do Społeczności. Uchwalono.

Wciągu trzech dni zebrał się Fundusz tak znaczny, że zabezpieczył dożywotnio wdowę i całkowite wykształcenie synów, o wiele dostateczniejsze niźli zapewnićby im mógł nieżyjący mąż a ojciec. Sami Pijarzy ofiarowali sierotom bezpłatną szkołę i konwikt darmowy.

Coś podobnego nie powtórzy się w Polsce już nigdy.

Pogrzebany Godebski stał się znagła dla mężów uczonych w Towarzystwie rymopisem najznaczniejszym, «naszą chlubą i chwałą». Tak to zwykle bywa — potem.

O Godebskim zapomniano u nas po latach stu; chwała dzisiejszych zmarłych, wyższej nieraz wartości poetyckiej, nie trwa i ćwierćwiecza. Młyn miele coraz prędzej. Pamięć o następcach czasów naszych gasnąć będzie z świecami u katafalku.

Po ukończonej zwycięsko wojnie można było dopiero myśleć o publicznej «Pochwale poety». By uczcić w nim razem i żołnierza, uznano za najgodniejsze odbyć to uroczyste publiczne posiedzenie w kaplicy Sztabu głównego. I oto uczczenie słynnego autora Wiersza do Legjów polskich zamieniło się niespodziewanie w hołd Warszawy dla Legjonów; nie iżby uszczuplono, co się należało ich Bayardowi i piewcy, lecz że w uniesieniu chwili, wszystko co po rozbio-

rach odnowiło naród polski, kojarzyło się ludziom w jedno.

Przemawiało autorów wielu. Co zaś mówiono, jakie głoszono pochwały, niech kto ciekaw wyszpera w księgach pożółkłych. Wolę przytoczyć, czego w księgach niema: zachowany w rękopisie «list generalny» Dąbrowskiego do wojska, a rozesłany przezeń po pułkach wszystkich. (Przytaczam w skrócie):

Warszawa, dnia 10 Lutego 1810 r.

— «Posyłam po 10 egzemplarzy opisu posiedzenia Towarzystwa Przyj. Nauk, które w dniu 22 Grudnia r. z. postanowiło uroczystym publicznym obchodem uczcić pamiątkę poległych z chwałą na polu Marsa naszych braci, naszych Towarzyszów broni. — W ten czas, kiedy my, w wojskowym zostający zawodzie, po upadku kraju naszego w odległych krajach u narodów walczących za tę samą sprawę (wolności), szukali wsparcia i potuchy i przeciw wspólnym nieprzyjaciołom staczali bitwy, — w ten czas mężowie światli mężowie nieszczęściami nie znękani, a z obcorodowym porządkiem rzeczy oswoić się nie chcący, myśleli jedynie o sposobach, jakiemiby przez zachowanie języka utrzymać Ducha Narodowego (oba słowa w rękopisie dużą literą). W właściwym sobie zakresie do tegoż samego co

my dążyli oni celu, tym samym co my tchnęli zapałem.

Dziś, kiedy choć w części nadzieje nasze i oczekiwania ziszczone, Towarzystwo wieńcząc laurami poległych za ojczyznę prawych jej synów, wskazuje nam prawdziwą wartość przeznaczenia naszego i pomnaża w nas chęci do chwalebnych czynów.

Zechcą Pułkowniki przyłączone tu książki rozdać między oficerów swoich i oświadczyć w ich imieniu podziękowanie Towarzystwu, adresując list do J.W.X. Staszica prezesa tego Towarzystwa. Expedycja ta może być na moje przesłana ręce.

Dąbrowski».

Jak bardzo ów «list generalny» trafił w nastroje wojska, świadczyło zachowanie się na owej uroczystości starszyzny legjonowej.

— «Za niezłomną przez lat tyle wytrwałość męstwa, za tyle cierpień — przemawiał do nich Staszic — przeżyliście dla serc waszych najdotkliwsze podejrzenia, że te święte zamiary długo za podłe najemnictwo branemi były».

Ci surowi wąsacze wojenni o twarzach stwardniałych popłakali się pono jak bobry, Następną mową upił się wręcz niejeden z nich, jak winem zacnem.

Oto w kolejnem wymienianiu poległych na ów apel żałobny mówił największy ora-

tor czasów, Stanisław Potocki sam: — «Ty pierwszy braterską ziemię twoim zasmuciłeś zgonem, o waleczny pułkowniku Berko!... Pomni Polska i dawniejsze za nią blizny i walki Twoje, pomni wiecznie»... Nie spolszczył, zlechizował wręcz «książe wymowy» imię tego i z Włoch legjonisty: Berka Joselewicza. — Gdy następnie któryś inwalida usłyszał na tych Wypominkach Marsowych żywe imię swoje, swe czyny wojenne, a z dalekich krajów rany niezgojone, uparł się nie wychodzić z kaplicy i pod gaszenie świec: chciał umrzeć za tym progiem, gdyż w życiu zrobił już swoje.

Inny znów, co doczekał się lat tak sędziwych, że bitwy przeżyte całkiem mu się pomieszały w umyśle, wspominał uparcie i jasną pamięcią ten dzień tylko, który — jak twierdził — odmłodził go na lata. I nie on jeden tylko. Wszyscy ci ludzie gotowi byli wtedy rozpocząć pod Dąbrowskim swą twardą dolę wojenną od początku — jeszcze raz!...

Taka odmiana żałobników i pogrobowców w chór odmłodzonego życia: — toż to było wytargnięte z samego serca klasycyzmu.

Muzy pseudoklasycznej niewiędnący to laur.

Oto mimowoli tu dziś wygłoszona Pochwała Cyprjana Godebskiego.

Dzisiejsi mężowie Nauk Pięknych ważą poezję jego na Mickiewiczowych wierszów polot. Był poetą nie dużym, osądzili. Jakież tu przyłożyć gwichty na ich Temidową szalę? — chyba Odrodzin naszych płomię i wichr!...

Dąbrowskiego nie było na tej uroczystości. Złożył natomiast Towarzystwu «własnoręczne pismo» (pracę większą w rękopisie): szczegółowy opis czynów wojennych Legjonów.

Obranie go na członka rzeczywistego odłożyło Towarzystwo do następnego publicznego posiedzenia (dn. 30 Kwietnia 1811 r.) w jedenastą rocznicę powstania swego.

Kandydaturę wnosił Staszic sam temi słowy:

— «Szanowny ten mąż swojemi zadziwiającej stałości czynami pierwszy rozpoczął dzieje odradzania się narodu polskiego, będąc tego odrodzenia nietylko głównym czyńcą, ale oraz i pisarzem. Własnoręczne pismo, które oddał Towarzystwu i zawarta w niem miłość kraju przy szukaniu lepszej dlań doli, nierównie więcej stałości i męstwa poddaje genjuszowi rymotwórców polskich, niżeli tułacza cząstka Trojan zostawiła Wirgilemu».

Rymotwórcy nasi, wiadomo, nie posłu-

chali tego wezwania ostatniego z klasyków: żaden nie napisał Eneidy polskiej. Wierna natomiast pozostała mu bezwiednie proza nasza. Kraszewski, Sienkiewicz, Żeromski, Tetmajer, Reymont i tylu innych nie zdołali ominąć wielkiej legendy Legjonów.

Na owem posiedzeniu zwrócił się następnie Staszic do nowoobranych członków z tem wezwaniem:

— «Zacni mężowie! Wzywam Was do zajęcia miejsc w gronie naszem. Udzielajcie nam waszych wiadomości, dzieląc z nami nasze prace».

«Prac tych celem: — doskonalenie ojczystej mowy i rozszerzanie w narodzie światła.

«Rzeczą nam pierwszą są te drogie znaki, od ojców w dziedzictwie nam dane, z przywiązaniem do nich błogosławieństwa, że dopókąd te rodowe znaki, to jest — ojczystą mowę z uszanowaniem i bez skazy zachowamy, dopotąd, jakimkolwiek naród losom podlegnie, upaść tylko, ale zaginąć nie może».

Najsłynniejsze to w tradycji słowa jego. Na owem posiedzeniu powtórzył je poraz drugi, acz w odmiennej nieco wersji. W pierwszem wygłoszeniu drukiem brzmiały one jak wiadomo: — «Paść może i naród wielki, zniszczeć tylko nikczemny».

A że przywołał je teraz poraz drugi, świad-

czy to, jak bardzo przejęła go chwila, gdy dziejowy czyn Dąbrowskiego wkraczał duchem w progi Towarzystwa. Przypomniał sobie może, powtórzoną mu niewątpliwie mowę wodza Legjonów na Kapitolu rzymskim: «wytępimy i podamy w ohydę» czczość i zniewieściałość Warszawy.

Znał to życie Staszic aż nadto. Wiedział księgarń codzienny bywalec, że wszystkie w nich lady zalega śmiecie cudzoziemszczyzny w przekładach romansów najlichszych, że na ulicach za szwargotem Żydów rozlega się w ponurej wciąż obfitości mowa niemiecka. Zdumiewający i trwały był ten pierwszy w stolicy posiew prusaków. Przerażał się tem i Godebski: — Gdy wrócisz do kraju, — uprzedzał powracającego z Legjonów towarzysza — zastaniesz wielu rodaków mówiących już tylko najeźdzców mową.

Wiedział wreszcie Staszic, że Teatr Narodowy świeci co wieczór pustkami, ku rozpaczy Bogusławskiego, — francuskie co dnia pełne. Doznawał nieraz, że gdy do domu polskiego wejdziesz z polską mową na ustach, za barbarzyńcę mieć cię będą w sfrancuziałych salonach warszawskich, gdzie książka polska damom na wyśmiechy.

(Wydany z inicjatywy Staszica, a z wielką ofiarą Mostowskiego «Wybór Pisarzy Polskich» wyczerpał się w pierwszem wy-

daniu... po latach 40-tu! Już wtedy, w 7 lat po nakładzie, mógł się był zorjentować jaka jest potrzeba tych rzeczy w Polsce).

Więc opadła mu głowa w zadumie, czy nie daremne będą tu — teraz i zawsze — wysiłki nazbyt nikłej garski światłych Polaków, gdy w sama stolica kraju przekłada — i cudze na swoje — i towar nad ducha.

Nie z gestem Skargi — nie miewał ich nigdy — lecz z kułakiem zaciśniętym aż po żyły nabrzmiałe walił dalej swym słowem twardem, jak młot w tę Warszawy kulturę «trzpiotarską»:

— «Lecz wieczne niebłogosławieństwo tym którzy znaki nasze rodowite zatracą, mowę ojców zaniedbają i zagubią! Takie narody zaginą! Bo wtedy nie poznają się bracia: — dzieci jednej rodziny przez zaszczepienie politycznych między niemi poróżnień znienawidzą się. I zabijać się będą bez porozumienia sposobu: bez czucia i wiedzy nawet, że własne wytępiają plemię!»...

Dynamika wewnętrzna epoki Oświecenia wyczerpywała się w drugiem i trzeciem dziesięcioleciu XIX w. wszędzie w Europie;

jakżeby nie miała wytleć przedewszystkiem w Polsce, gdzie ogarniała postokroć mniejszy krąg ludzi światłych? Stoi przytem wytrwałość narodów duchem swych przywódców wielkich, a Polska wtedy właśnie grzebała kolejno Kościuszkę, Dąbrowskiego, Staszica: — Fides, Spes, Caritas pokolenia porozbiorowego.

Grób Staszica na Bielanach odwiedził kilkakrotnie z wiązanką kwiatów i zamyślał się na nim długo, — zaskakuje nad ten sentyment — Mochnacki. (Ta wiadomość osobliwa zachowała się w raportach szpiega Makrota, składanych Konstantemu w Belwederze). Nie łudźmy się jednak; nic bardziej od romantyzmu emigracyjnego nie przyczyniło się do zagłuszenia w tradycji nieogarniętego wręcz posiewu Staszica.

Twórca Uniwersytetu warszawskiego i pierwszej Szkoły Politechniki był również założycielem Wydziału Sztuk Pięknych w tymże uniwersytecie, oraz Konserwatorjum i Szkoły Dramatycznej. Po śmierci jego znaleziono, stygnącą już ręką podpisany, ostatni akt urzędowy w sprawie podniesienia stanowiska społecznego i uposażeń artystów Teatru Narodowego. Taką kropkę nad i sądzone było postawić polskiemu «Wskrzesicielowi nauk».

Następny, po śmierci Staszica, prezes To-

warzystwa, Niemcewicz napisze na lat kilka przed Powstaniem 30 r., w czas dyktatury Konstantego: — «W Warszawie głucho i pusto: wszystko śpi pod obuchem (cenzury) Szaniawskiego».

— Znów śpi wszystko! — znów głucho i pusto! — jak na początku pod rządem pruskim. Zamknął się krąg — nowym odpływem.

Nie zratował życia stolicy duch z Litwy. Romantyzm, przeniknąwszy z Wilna, odmienił w Warszawie oblicze swe: stał się — powiada nie kto inny jak Mochnacki właśnie — «sektą polityczną».

Na lat kilka tedy przed Powstaniem dogasło Towarzystwo. Do jego odnowy wiedzą Lelewelów, talentem Mochnackich, genjuszem Mickiewicza nie dopuści klęska 31 r., — a wybrano Mickiewicza pod koniec jednogłośnie przy powstaniu z miejsc. Starzy składali broń.

Dąbrowski zmarł w rok po Kościuszce (1818 r.). Sanctorium Towarzystwa stała się wtedy cała po nim puścizna: archiwum Legjonów, zbiór książek jego, zbroi i dzieł sztuki, «aby każdy Polak mógł te rzeczy oglądać, — nakazywał w testamencie, — respective czytać». Czytać choćby to całe mnóstwo na gorąco pisanych listów najbujniejszych ludzi w pokoleniu. Bucha z nich

życie i wre krew młoda, zatracone niemal docna na ziemiach obcych. Stało się to, między innemi, i dlatego, aby w dalekiej Warszawie stanąć mógł owy «Przybytek muz Polskich». Słynna w nim potem Sala Dąbrowskiego stała się ośrodkiem tego gmachu, a złożone w niej pamiątki «świętym płomieniem miłości ojczyzny» — powiadał Staszic.

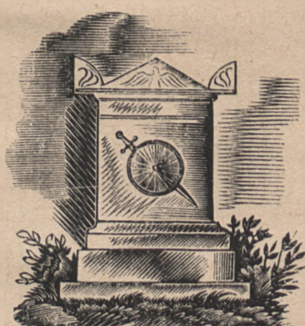
W pośmiertnych na cześć Dąbrowskiego ostatnich odach pseudoklasycznych sławi go jeden ż rymopisów bezimiennych jako największego w Europie bojownika wolności: — «Sam Petersburg posągi Twej poświęci chwale!»...

Komu żałosną wyda się ta emfaza muzy młodzieńczej, niechże przypomni jednak, iż niedawno jeszcze genjusze muzyki cudzoziemskiej brali «nutkę» legjonowego mazurka na swe harfy stustrunne, wygarniając i piękno wszechludzkie z onych niegdyś wędrówek orężnych Polaków «po lądach, morzach, piaskach gorących i mrozie»... Zasłuchanym w tę muzykę narodom obcym mówiły ich orkiestr fugi romantyczne — o ostatnich rycerzach błędnych Europy «zużytej», — o żołnierzach niewygasłej rewolucji polskiej, co wichrem wolnego człowieczeństwa przelecieli przez świat.

Pomnika ani Dąbrowski ani Staszic w Warszawie nie mają. (Pilniejsze i bliższe dzisiejszemu sercu Warszawy będą posągi Kilińskiego i Bogusławskiego). Lecz jak obaj utrudzali się sami za wszystkich, sporni potylekroć całej opinji warszawskiej, tak też sami wystawili sobie pomnik, i to w sercu stolicy: stanęli dwiema oporowemi kolumnami «Pałacu Kultury Polskiej» — za Kopernikiem w Warszawie.

Nad wrotami tego gmachu chciano niegdyś wyżłobić w kamieniu słowa, z któremi Staszic oddawał narodowi tę wspaniałą dorowiznę swą:

— «Nie dla swoczesnych pożytków. lecz dla dobra i użytku pokoleń przyszłych».



Drzeworyty:

Na str. 5 — motyw z medalu wybitego w r. 1809 na pośmiertną cześć Tad. Czackiego.

Na str. 53 — nagrobek Godebskiego na Powązkach.

Inne drzeworyty oparte na motywach z druków Groell'owskich.

NAKŁADEM TYGODNIKA SPOŁECZNO-LITERACKIEGO «PION»

ODBITO W DOŚWIADCZALNEJ PRACOWNI GRAFICZNEJ SALEZJAŃSKIEJ SZKOŁY RZEMIOSŁ W WARSZAWIE